

Życie i los. Fragmenty

Wasilij Grossman

Pod koniec kwietnia do księgarń trafi powieść Wasilija Grossmana *Życie i los*. Tym samym zostanie uzupełniona poważna luka na polskim rynku wydawniczym. Epopeja Grossmana była w Związku Radzieckim oficjalnie skazana na nieistnienie. Michaił Susłow, partyjny ideolog, zapowiadał nawet, że do-czeka się ona druku w ZSRR może za dwieście lat. Tymczasem literatura znów okazała się potężniejsza od imperium... Dzięki uprzejmości wydawnictwa W.A.B. prezentujemy pierwsze rozdziały książki.

1

Nad ziemią wisiała mgła. Na drutach wysokiego napięcia biegnących wzdłuż szo-sy migwały odbłaski samochodowych świateł.

Deszcz nie padał, ale o świcie ziemia była wilgotna, toteż kiedy zapalało się czer-wone światło, na mokrym asfalcie pojawiała się niewyraźna czerwonawa plama. Tchnienie obozu czuło się z odległości wielu kilometrów – to do tego miejsca zmie-rzały ciągle gęstniejące druty, szosy, tory. To była przestrzeń linii prostych, prze-strzeń prostokątów i prostopadłościanów, tnących ziemię, jesienne niebo, mgłę.

Przeziągle, niezbyt głośno zawyły odległe syreny.

Szosa przywarła do torów kolejowych, więc kolumna samochodów wiozących ce-ment w papierowych workach przez jakiś czas jechała prawie z tą samą szybkością co nieskończenie długi pociąg towarowy. Kierowcy w wojskowych płaszczach nie oglądali się na jadące obok nich wagony, na blade plamy ludzkich twarzy.

Z mgły wyłoniło się ogrodzenie – rzędy drutów między betonowymi słupami. Baraki ciągnęły się, tworząc szerokie, równe ulice. Ich monotonia wyrażała nie-ludzkość tego olbrzymiego obozu.

Pośród milionów rosyjskich drewnianych chat na próżno szukalibyśmy dwóch identycznych. Wszystko, co żywe, jest niepowtarzalne. Nie do pomyślenia są dwaj dokładnie tacy sami ludzie, dwa takie same krzaki dzikiej róży... Życie zamiera tam, gdzie przemoc stara się zatrzeć jego niepowtarzalność i indywidualne cechy.

Uważne i wzdrgadliwe oko siwego maszynisty śledziło migotanie betonowych słup-ków, wysokich masztów z obracającymi się reflektorami, betonowanych wież, gdzie

na tle światła widać było strażnika przy obrotowym karabinie maszynowym. Maszynista mrugnął do pomocnika, parowóz zagwizdał ostrzegawczo. Mignęła jasno oświetlona budka, samochody czekające w kolejce przy pasiastym szlabanie, bycze, nalane krwią oko sygnalizatora.

Z daleka dobiegł ich gwizdek składu jadącego z naprzeciwka. Maszynista powiedział do pomocnika:

– To Zucker, poznaję go po tym wariackim sygnale. Wyładował transport i pędzi na pusto do Monachium.

Po chwili zadudnił pusty skład, minął się z pociągiem jadącym do obozu, rozdarło powietrze zatrzeszczało, zamrugały szare prześwity między wagonami, i nagle strzepy przestrzeni i światła jesienno-poranka znowu połączyły się w jedno, miarowo sunące torowisko.

Pomocnik maszynisty wyjął z kieszeni lusterko i obejrzał swój usmolony policzek. Maszynista poprosił o nie ruchem ręki.

Pomocnik rzekł wzburzonym głosem:

– Ach, *Genosse Apfel*, gdyby nie ta dezynfekcja wagonów, to mógłbym się założyć, że dalibyśmy radę wrócić przed obiadem, a nie o czwartej, i to jeszcze zmordowani. Tak jakbyśmy nie mogli zrobić dezynfekcji u nas na węźle.

Stary miał dość tego wiecznego gadania o dezynfekcji.

– Daj długi sygnał – polecił. – Mamy jechać nie na zapasowy, tylko prosto na główny plac rozładunkowy.

2

W niemieckim obozie Michaił Sidorowicz Mostowski po raz pierwszy od czasów II Kongresu Kominternu mógł na serio wykorzystać swoją znajomość języków obcych. Przed wojną, w Leningradzie, nieczęsto miał okazję rozmawiać z cudzoziemcami. Teraz przypominały mu się lata emigracji w Londynie i w Szwajcarii; grupy rewolucjonistów rozmawiały tam, śpiewały i kłóciły się w wielu europejskich językach.

Sąsiad z pryczy, włoski ksiądz Gardi, powiedział Mostowskiemu, że w obozie siedzą ludzie pięćdziesięciu sześciu narodowości.

Los, kolor skóry, ubranie, tupot nóg, nieśmiertelna zupa z brukwi i sztucznego soga, które Rosjanie nazywali „rybim okiem” – wszystko to było jednakowe dla dziesiątków tysięcy mieszkańców obozowych baraków.

Dla kierownictwa obozu więźniowie różnili się numerami i barwą trójkątnej naszywki na kurtce: czerwony winkiel mieli polityczni, czarny – sabotażyści, zielony – mordercy i złodzieje.

Ludzie mówili różnymi językami i nie rozumieli się nawzajem, ale łączyła ich wspólna dola. Fizycy molekularni czy badacze starożytnych rękopisów leżeli na pry-

czach obok włoskich chłopów i chorwackich pastuchów, nieumiejących się nawet podpisać. Ci, którzy dawniej mieli własnego kucharza i martwili go słabym apetytem, oraz ci, którzy jedli solone dorsze, szli obok siebie do pracy, stukając drewnianymi podeszwami, i tęsknie popatrywali, czy nie nadchodzą kostträgerzy, czyli roznoszący jedzenie – „kostrygi”, jak ich nazywali mieszkający w blokach Rosjanie.

Podobieństwo losów ludzi z obozu rodziło się z różnic między nimi. Więzień mógł wspominać ogródek przy zakurzonej włoskiej drodze, ponury szum fal Morza Północnego albo pomarańczowy abażur w gabinecie sztabowym na peryferiach Bobrujska – ale każdy z nich bez wyjątku pielęgnował w duszy piękny obraz przeszłości.

Im ciężiej żyło się człowiekowi, zanim trafił do obozu, tym bardziej zawzięcie kłamał. Kłamstwo to nie miało żadnego praktycznego celu, służyło sławieniu wolności – poza obozem człowiek nie może być nieszczęśliwy...

Obóz ten przed wojną zwał się obozem dla przestępców politycznych.

Powstał nowy typ więźniów politycznych, stworzony przez narodowy socjalizm – zbrodniarze, którzy nie popełnili żadnej zbrodni.

Wielu trafiło do obozu za krytyczne uwagi o reżimie hitlerowskim, wypowiedziane w rozmowach z przyjaciółmi, albo za dowcipy polityczne. Nie rozrzucali ulotek, nie należeli do podziemnych organizacji. Oskarżono ich o to, że mogliby to wszystko zrobić.

Zamykanie jeńców wojennych w obozie koncentracyjnym dla politycznych także było wynalazkiem nazizmu. Trafiali tu zestrzeleni nad Niemcami angielscy i amerykańscy lotnicy, ale również dowódcy czy komisarze Armii Czerwonej, którymi interesowało się gestapo. Żądano od nich zeznań, współpracy, konsultacji, podpisów pod najróżniejszymi deklaracjami.

Przebywali tu także sabotażyści – bumelanci, którzy próbowali samowolnie porzucić pracę w wojennych fabrykach i na budowach. Osadzenie w obozie koncentracyjnym za złą pracę również było innowacją narodowego socjalizmu.

Siedzieli tutaj ludzie z liliowymi winklami na kurtkach – niemieccy emigranci, którzy wyjechali z Niemiec po zwycięstwie Hitlera. To też był nazistowski pomysł – kto porzucił Niemcy, stawał się wrogiem politycznym, choćby nie wiadomo jak lojalnie zachowywał się za granicą.

Ludzie z zielonymi winklami – złodzieje, włamywacze – stanowili w obozie formację uprzywilejowaną; władze wykorzystywały ich przy nadzorowaniu politycznych.

Także w przewodzie więźnia kryminalnego nad politycznym przejawiało się nowatorstwo narodowego socjalizmu.

W obozie znajdowali się też ludzie o losach tak niepowtarzalnych, że nie potrafiono znaleźć żadnej naszywki, by przydzielić ich do jakiejś kategorii. Ale i dla hinduskiego zaklinacza węży, i dla Persa, który przyjechał z Teheranu, żeby studiować

niemieckie malarstwo, i dla studenta fizyki z Chin nazizm uznał za odpowiednie legowisko na pryczy, miszkę zupy i dwanaście godzin pracy przy regulówce.

Dniem i nocą trwał ruch transportów do obozów zagłady, do obozów koncentracyjnych. Dookoła rozlegał się stukot kół, ryk parowozów, łomot butów setek tysięcy więźniów, którzy oznakowani pięciocyfrowymi numerami szli do pracy. Obozy stały się miastami Nowej Europy. Rosły i rozszerzały się w zgodzie ze swoim rozplanowaniem, razem ze swoimi uliczkami i placami, szpitalami, ze swoimi pchlimi targami, krematoriami i stadionami.

Jakże naiwne i nawet dobrotliwie-patriarchalne wydawały się dawne, przycupnięte na przedmieściach więzienia w porównaniu z tymi obozowymi miastami, w porównaniu z purpurowo-czarną, przyprawiającą o obłęd łuną nad piecami krematoriów.

Wydawałoby się, że do kierowania taką masą represjonowanych potrzebna jest olbrzymia, też niemal milionowa armia nadzorców, strażników. Tymczasem nic podobnego. Całymi tygodniami w barakach nie pokazywał się nikt w mundurze SS! Więźniowie sami wzięli na siebie ochronę policyjną w miastach-obozach. Sami pilnowali porządku w barakach, uważali, żeby do ich kotłów trafiały wyłącznie zgniłe i zmarznęte kartofle, oddzielając od nich te duże, dobre, które miały powędrować do magazynów z żywnością dla wojska.

Więźniowie byli lekarzami, bakteriologami w katorżniczych szpitalach i laboratoriach, stróżami zamiatającymi katorżnicze chodniki, inżynierami dbającymi o katorżnicze światło, katorżnicze ciepło, katorżnicze części do katorżniczych maszyn.

Sroga i energiczna policja łagrowa – kapo noszący na lewym ramieniu szeroką żółtą opaskę, starsi obozu, blokowi, sztubowi – trzymała pod kontrolą wszystkie sfery życia w obozie, od spraw ogólnych do prywatnych, tych, które załatwiano nocami na pryczach. Więźniowie byli dopuszczani do poufnych spraw obozowego państwa – pomagali nawet sporządzać listy ludzi przeznaczonych do likwidacji, przesłuchiwać podejrzanych w betonowych pudełkach – dunkelkammerach. Wydawało się, że gdyby zniknęła komendantura, to i tak więźniowie sami puszczaliby przez druty prąd wysokiego napięcia, żeby nikt nie uciekł, tylko nadal pracował.

Kapo i blokowi służyli komendantowi, ale wzdychali, a niekiedy nawet płakali po tych, których odprowadzali do krematoriów... Bez przesady jednak – rozdwojenie jaźni nie było całkowite, w końcu nie wpisywali swoich nazwisk na listy przeznaczonych do gazu. Michaiła Sidorowicza przerażało zwłaszcza to, że narodowy socjalizm nie przychodził do obozu z monoklem w oku, po oficersku wyniosły, obcy ludowi. Narodowy socjalizm nie separował się od prostego ludu, żył z nim za pan brat: posługiwał się jego humorem, umiał go rozśmieszyć, był plebejski i nie zadzierał nosa. Znał doskonale i język, i umysł, i duszę tych, których pozbawił wolności.

3

Mostowskiego, Agrippinę Pietrownę, lekarzkę wojskową Lewinton i kierowcę Siemionowa Niemcy zatrzymali na peryferiach Stalingradu i wszystkich zawieźli do sztabu dywizji piechoty.

Po przesłuchaniu Agrippinę Pietrownę wypuszczono; tłumacz na polecenie pracownika żandarmerii polowej dał jej bochenek chleba z grochu i dwa czerwone banknoty – trzydziestki. Siemionowa dołączono do kolumny jeńców zmierzających do stalagu w okolicach chutoru Wiertiaczjy. Mostowskiego i Sofię Osipownę Lewinton zawieziono do sztabu grupy armii.

Mostowski po raz ostatni widział tam Sofię Osipownę – bez furażerki, z oderwanymi dystynkcjami, stała na zakurczonym podwórzu; zachwycała go posępnym, złowrogim wyrazem twarzy.

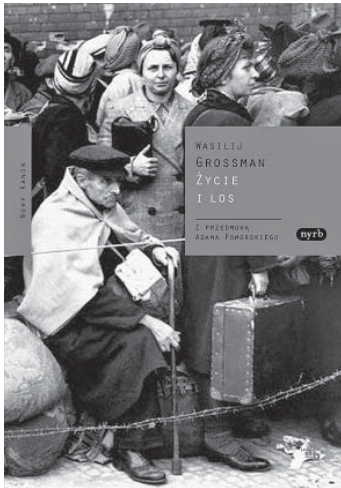
Po trzecim przesłuchaniu Mostowskiego popędzono piechotą na stację kolejową, gdzie odbywał się załadunek ziarna. Dziesięć wagonów wydzielono dla chłopców i dziewcząt jadących na roboty do Niemiec – Mostowski słyszał krzyki kobiet, kiedy pociąg odjeżdżał. Sam siedział w wagonie trzeciej klasy, w małym przedziale służbowym. Eskortujący go żołnierz nie wyglądał na surowego, ale kiedy Mostowski o coś go pytał, tamten przybierał taki wyraz twarzy, jakby był głuchoniemy. Czuło się przy tym, że całą uwagę skupia wyłącznie na podopiecznym. Zupełnie jakby doświadczony pracownik zoo, transportujący kolejną zwierzę, w milczeniu i stałym napięciu obserwował skrzynię, w której jest ono zamknięte. Kiedy pociąg jechał przez terytorium Generalnego Gubernatorstwa, w przedziale pojawił się nowy pasażer – polski biskup, siwy, wysoki, przystojny mężczyzna o pulchnych młodzieńczych ustach i tragicznym wzroku. Od razu zaczął opowiadać Mostowskiemu o represjach, jakim Hitler poddał polskie duchowieństwo. Mówił po rosyjsku z silnym akcentem. Kiedy jednak Michaił Sidorowicz zaczął źle mówić o papieżu i katolicyzmie, współpasażer umilkł i na pytania odpowiadał lakonicznie, po polsku. Po kilku godzinach wysadzono go w Poznaniu.

Jadący do obozu pociąg ominął Berlin... Teraz, w bloku specjalnym, przeznaczonym dla więźniów, którymi szczególnie interesowało się gestapo, Mostowskiemu wydawało się, że od tamtej pory minęły całe lata. Karmiono tu lepiej niż w pozostałej części obozu, ale więźniowie czuli się jak króliki doświadczalne w laboratorium. Dyżurny uchylił drzwi, wywoła – okazuje się, że to nasz przyjaciel chce na korzystnych warunkach wymienić tytoń na rację żywnościową, zatem wywołany, uśmiechając się z zadowoleniem, wraca na swoją pryczę. Równie dobrze jednak mogą wywołać innego; ten przerywa pogawędkę i podchodzi do drzwi, ale rozmówca nie doczeka się już końca opowieści. Dzień później kapo podejdzie do pryczy, każe dyżurnemu zabrać z niej łachy, a ktoś przypochlebnie spyta sztubowego nazwiskiem

Kehse, czy może zająć zwolnione miejsce. Nikogo już nie dziwiły rozmowy, dotyczące na przemian to selekcji i kremacji trupów, to obozowych drużyn piłkarskich: najlepsi są ci od regulówki, czyli *Moorsoldaten*¹, to silny rewir; kuchnia dobrze gra w ataku, polskiej drużynie Pracefiks brakuje obrońców. Za coś zwyczajnego uważano dziesiątki czy nawet setki plotek o nowej broni, o kłótniach między nazistowskimi przywódcami. Plotki były niezmiennie pomyślne i niezmiennie fałszywe; ot, takie obozowe opium dla ludu. 🏰

(Zaprezentowane fragmenty w chwili oddawania numeru do druku nie były jeszcze poddane końcowej redakcji i w książce mogą ulec zmianie.)

Przełożył Jerzy Czech



Wasilij Grossman, *Życie i los*, wstęp Adam Pomorski, wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009

NEW YORK REVIEW BOOKS

nyrb CLASSICS

Książka ukaże się w serii „Nowy Kanon”, przygotowanej we współpracy z redakcją „The New York Review of Books”.

¹ Żołnierze błotni (niem.).